

Widok z boku

2 grudnia 2020

Kiedy partia o sprzecznej wewnętrznie nazwie – Prawo i Sprawiedliwość – wygrała wybory parlamentarne w 2015 roku, uzyskując przewagę głosów w sejmie i w senacie, pełniłem wśród moich przyjaciół i znajomych rolę środka uspakajającego.

Źle się stało, ale nie traktujmy tego, jak narodowej tragedii. Wśród tych wygranych jest przecież wielu ludzi rozsądnych. Ster ich okrętu dzierży człowiek uchodzący wśród nich za tytana inteligencji, niewątpliwy patriota, chociaż podobno trudny w międzyludzkich relacjach. Przylepiła się do niego opina, że bywa nadmiernie przywiązany do nie zawsze słusznych własnych poglądów, ulega często spiskowej teorii dziejów, identyfikuje patriotyzm z uległością wobec hierarchów katolickiego kościoła i ma skłonności do wywoływania politycznych awantur. Ale nie przesadzajmy. Był już premierem, powinien dobrze rozumieć ciężar odpowiedzialności i rozważnie korzystać ze zdobytej władzy.

Mea culpa

Biję się w wątki piersi. Myliłem się. Pierwsze wątpliwości, co do słuszności mojej oceny sytuacji zaczęły mnie dopadać już po roku. Złożyły się na to trzy przyczyny. Widoczne dla każdego względnie douczonego obywatela, rażące błędy kadrowe, opieranie propagandy na twierdzeniu, że „przez ostatnie osiem lat” wszystko było źle organizowane i prowadzone, oraz widoczne przekształcanie państwowej telewizji, w tubę propagandową partii.

Te początkowe przyczyny powstania mojej nieufności do wzmocnionego przybudówkami PISu, nazywającego siebie „zjednoczoną prawicą” utrzymywały się do końca pierwszej kadencji. Ulegały stopniowemu zaostreniu w miarę, jak deklarująca miłość do sprawiedliwości władza, zajęła się

twórczo psuciem sądownictwa, a zwłaszcza Krajowej Rady Sądownictwa, Trybunału Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego. Zrozumienie celu tych działań, ukrywanych pod enigmatycznym hasłem „dobrej zmiany”, utrudniało obywatelom personalne atakowanie sędziów, prowadzone w stylu drugorzędnego kabaretu. I ma to obecnie dalszy ciąg w walce z niewygodnymi sędziami, prowadzonej z pomocą nowej Izby Sądu Najwyższego. Dziwnej izby, która pracuje, mimo, że jej powołanie i istnienie jest kwestionowane.

Nie bez znaczenia w kształtowaniu moich uczuć było też rozwijające się w „obozie władzy” naśladownictwo, nazywane przez malkontentów „małpowaniem zwierzchników”. Panie i panowie dzierżący władzę na niskich szczeblach, niemal dosłownie powtarzali to, co mówili siedzący na wyższych szczeblach partyjnej drabiny. A wypowiedzi z najwyższego szczebla powtarzane były (i są!) niemal dosłownie. Nie byłem tym zachwycony, bo to dowodzi nie tylko braku inwencji, ale najczęściej także braku własnych poglądów. I nieustannej troski o to, aby wyższa władza serdecznie pogłaskała i nie pozwalała zrobić krzywdy, jeśli nóżka o coś się potknie.

W drugiej połowie pierwszej kadencji utrzymywania władzy przez zjednoczoną prawicę, patrzących z boku zaczęły też denerwować, a czasem rozśmieszać, próby poprawiania, a nawet zmieniania historii, albo oceny faktów historycznych. Intencje były jasne. Trzeba ukształtować na nowo historyczną wiedzę młodzieży, wytworzyć u niej przekonanie, że zawsze słusznie i dobrze postępowała w Polsce tylko prawica. Reszta, a zwłaszcza „lewactwo”, działała źle, tchórzliwie i często zbliżając się do „narodowej zdrady”. W czasie hitlerowskiej okupacji tylko prawicowa partyzantka NSZ, uwieczona bohaterskim przemarszem Brygady Świętokrzyskiej na spotkanie amerykańskich jednostek generała Pattona, zasługiwała na prawdziwe uznanie. Inne konspiracyjne oddziały, jak AK słuchająca się ślepo rządu w Londynie, albo AL, czy Bataliony Chłopskie zarażone komunistycznymi poglądami, nie robiły nic istotnego. Siedziały

w głębokich lasach, albo nieudolnie organizowały akcje w rodzaju Warszawskiego Powstania, w których ginęli cywilni mieszkańcy. A po wojnie słusznie postępowali tylko „żołnierze wyklęci”. Reszta obywateli splamiła się pomocą w odbudowie kraju, zaliczanego wówczas do, jakże wstrętnego, obozu socjalistycznego.

Wszystko jest sukcesem

Zdeklarowani zwolennicy PISu zapewne tego nie zauważają, ale dla większości społeczeństwa, stawało się też denerwujące nieustanne chwalenie się rzekomymi osiągnięciami. Właściwie wszystko, co robiła i robi „partia i rząd”, jest sukcesem. Sukcesem było wirtualne rozpoczęcie produkcji samochodów elektrycznych, promów morskich i helikopterów wojskowych, lepszych od francuskich Caracali. Sukcesem było przegranie ważnych głosowań w UE. Z sukcesem walczymy z pandemią, mimo, że mamy jeden z najwyższych w Europie wskaźnik udziału zachorowań w stosunku do liczby ludności. Sukcesem jest propagandowa oprawa uruchamiania szpitali tymczasowych, w których prawie nie ma pacjentów.

Widok z boku na polską scenę polityczną zaczął mnie jeszcze bardziej denerwować, po rozpoczęciu drugiej kadencji pisowskiej władzy. Świadczące o braku wyobraźni manewry angażujące Trybunał Konstytucyjny w niszczenie z trudem utrzymującego się kompromisu w zakresie dopuszczalności aborcji, będą historycznym wzorem bezmyślnego zarządzania państwem. Doprowadził on do masowych demonstracji w okresie pandemii.

Jednocześnie polski rząd i jego polityczni mocodawcy wpadli w dziecienną pułapkę logiczną. Nie zgadzamy się na powiązanie budżetowych decyzji UE z oceną praworządności. Jesteśmy wprowadzić państwem wzorcowo praworządnym, więc nie boimy się żadnej kontroli w tym zakresie i żadnych związanych z tym sankcji.. Ale nie zgadzamy się na takie kontrolowanie, bo to

narusza nasz honor i suwerenność. A jak Unia Europejska będzie się przy tym upierać, to zawetujemy jej cały budżet. I zrobimy przykrość, bo nie weźmiemy części pieniędzy! Honor jest ważniejszy.

Inne czasy, inna sytuacja i inne ryzyko. Ale o honorze państwa kiedyś już mówiliśmy. Pięknie, choć trochę bez politycznego sensu. Józef Beck w słynnym przemówieniu w Sejmie w dniu 5 maja 1939 roku powiedział: „My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest tylko jedna rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest cenna. Tą rzeczą jest honor”.

Partia i rząd – to sformułowanie brzmi dumnie od czasów PRL – wydają się zapominać, że w naszych relacjach z krajami Unii Europejskiej liczą się nie tylko pieniądze. Liczy się też, a może nawet bardziej, opinia i szacunek. Powoli, ale konsekwentnie, utrwalamy o Polsce opinię malkontenta, ambicjonera hołdującego zacofanym poglądom. Zarabiamy też na opinię państwa wyznaniowego, w którym kościół katolicki odgrywa coraz większą rolę polityczną. A także państwa, które nie potrafi być solidarne z Europą mimo, że „solidarność” była niedawno jednym z fundamentów jego demokratycznych przekształceń.

Wizje przyszłości

Błędem „partii i rządu” jest też brak przejrzystego sformułowania celu, do jakiego zmierzają, a zarazem – jak można przypuszczać – celu życia ich czołowego przywódcy i stratega.

Patrzący z boku, zwłaszcza walczący ze sklerozą obywatel, nie może się tego celu doszukać w istniejącym bałaganie politycznym.. Przychodzą mu do głowy różne warianty przyszłości, które może nam zafundować kontrolujący rząd wicepremier, nieukrywający, że czuje się już prezesem całego narodu.

Zastanawiam się więc, czy Polska ma być europejskim rezerwatem, zamieszkałym przez w 100% religijny naród, poddający się bez dyskusji poleceniom władz, które zawsze wiedzą lepiej, co jest mu potrzebne do szczęścia? Czyli – w uproszczeniu – ma to być rodzaj współczesnej, względnie łagodnej, dyktatury, zachowującej pozory demokracji?

A może – wręcz przeciwnie – ma to być kraj, w którym de jure istnieje prawnie usankcjonowana demokracja, a w rzeczywistości stosuje się „zamordystyczne” metody zarządzania, utrzymujące posłuszeństwo społeczeństwa i zmuszające je do epatowania zewnętrznego świata, widocznymi objawami zadowolenia. Konieczne jest wówczas utrwalanie wiary w nieomyłność przywódcy, któremu zapewnia się powszechne uwielbienie i monarchistyczną pozycję.

Czy też w końcu ma to być kraj, w którym wierna władcy partia, dysponująca wszystkimi atrybutami władzy i stopniowo upaństwowianym aparatem propagandy, powoduje u większości społeczeństwa epidemię bałwochwalstwa i zaniku krytycyzmu, przechodzącą w znieczulicę. To społeczeństwo nie wierzy już w kartezjańskie „myślę, więc jestem”, i zmienia je na bardziej realistyczne – „nieźle żyję, bo słucham się wodza”.

Zmieniający się sposób i forma traktowania otoczenia przez przywódcę partii i sternika rządu, może wskazywać, że jest mu najbliższe stworzenie państwa bliskiego trzeciemu z wymienionych rozwiązań, wzbogaconemu o pewne elementy drugiego wariantu. Zachowania, przemowy i oświadczenia przywódcy świadczą o tym, że dobrze się czuje z monarchistyczną pozycją. Zabieranie głosu w Sejmie bez trybu, po formalnym zamknięciu obrad, bez maseczki ochronnej, z formułowaniem wyraźnych gróźb wobec politycznych przeciwników, jest godne średniowiecznego monarchy. Rodzącą się czołobitność poddanych potwierdza też rozdmuchanie jego gwardii ochronnej do niespotykanych rozmiarów. Strach człowieka ogarnia jak pomyśli, że w czasach, w których gniliśmy pod butem komunizmu, taki Gomułka albo Cyrankiewicz mieli tylko kilka osób ochrony. I nawet jej

czasem uciekali, bo nie lubili, jak ich podglądają.

Nie mam wyjścia. Patrząc z boku będę nada obserwował rozwój, albo zanik polskiej demokracji. Jeśli partia i rząd nie zdążą doprowadzić nas o wymarzonego przez nich modelu państwa w okresie trzech lat, to po następnych wyborach może im być trudniej. Ale nie mogę też wykluczyć, że ich starania zostaną wcześniej przerwane przez niezadowoloną, lub wręcz wkurw...ą część społeczeństwa. Bo tak już jest, że wszystkim się nie dogodzi.

Autorstwo: Tadeusz Wojciechowski

Źródło: Trybuna.info